



Mirosław Derecki

ZANOTOWANE NAD TAMIZĄ (1):
POLACY Z „POLISH CORRIDOR”

Jeszcze błąka się w pamięci londyńczyków wspomnienie o słynnym niegdyś „polskim korytarzu”, jeszcze wspominają go z lezką sentymentu stare, angielskie „Polusy”, ale dla młodego Anglika to już nazwa abstrakcyjna, dla Polaka urodzonego w Anglii - przybladły błysk historii... Zapytajcie napotkanych na ulicach Chelsea lub Kensingtonu dziewczynę czy chłopaka o „Polish corridor”, uniesie ramiona w niemym geście zdziwienia. Ale na pytonie o „Kangaroo valley” - „dolinę kangurów” - natychmiast wskaże drogę do ruchliwej, od świtu do późnej nocy pełnej młodzieży ulicy Earl's Court Road. I wyjaśni, że owa popularna, ekscentryczna nazwa wzięła się od wielkiej liczby kręcących się tutaj Australijczyków, którzy też przy Earl's Court Road mają tłumnie uczęszczany i doskonale prosperujący klub. A przecież dzielnica Earl's Court była jedną z głównych części składowych „polskiego korytarza”...

„Polski korytarz” opróżnia się z Polaków. Z biegiem powojennych lat zaczęli przesuwać się coraz bardziej na zachód: najpierw do ubogiego Hammersmith lub Sheperd's Bush, potem, ze wzrostem zamożności, do bardziej „willowych” Acton oraz Ealing. Gdy przeluźniło się na Sheperd's Bushu, miejsce Polaków zaczęli zajmować czarnoskórzy Brytyjczycy, przybysze z wysp Morsa Karaibskiego, a napływ ten był tak duży, że wkrótce dzielnica zyskała sobie dragą, nieoficjalną nazwę: „Jamaica”. Ale to już zupełnie inna historia...

Trzydzieści lat temu „Polish corridor” przecinał śmiałym łukiem jedne z najciekawszych i najelegantszych dzielnic Londynu: Kensington i Chelsea. Rozpoczynał się gdzieś na przedpolach Hammersmith i parł, rozszerzając się ciągle, w kierunku wschodnim, ograniczany od północy elegancką ulicą hoteli - Cromwell Road, od południa - zamieszkałą przez artystów i antykwariuszy - King's Road, ku południowemu Kensingtonowi, Knightsbridge, arystokratycznej dzielnicy Belgravia i okolicom dworca kolejowego Victoria.

Stąd było już niedaleko do Hyde Parku i snobistycznej Park Lane, do ruchliwej Picadilly Street i do siedziby królewskiej, Buckingham Palace.

W obrębie „polskiego korytarza” skoncentrowane były prawie wszystkie instytucje związane z polskim rządem emigracyjnym, siłą rzeczy tutaj też powstawały polskie kluby, sklepy, restauracje i kawiarnie, na ulicy częściej słyszało się język polski niż angielski. Nic zresztą dziwnego. Już w końcu 1940 r. przebywało w Wielkiej Brytanii 36 tysięcy Polaków, do roku 1947 liczba ich wzrosła do około 200 tysięcy. Aczkolwiek tylko stosunkowo niewielki ich procent mieszkał w stolicy W. Brytanii, była to jednak liczba na tyle wysoka, aby pewnej części Londynu narzucić odrębny, specyficzny koloryt.

„Polish corridor”, umiejscawiając się w sercu wojennego Londynu, brał w posiadanie tereny, po których do wojny tylko z rzadka przebiegały ścieżki Polaków. Bardzo nieliczna przedwojenna emigracja grupowała się na wschód od City, jeszcze dawniejsza emigracja popowstaniowa, mieszkała w niecieszącej się nigdy najlepszą sławą dzielnicy Soho.

A jednak uparcie szukając można natrafić na nagle ślady tych rodaków, którzy sto lat wcześniej przecierali tu pierwsze polskie szlaki. Np. na pięknym, porośniętym cyprysami Brampton Cemetery znajduje się grób Karola Szulczewskiego (1814-1884). Uczestnik Powstania Listopadowego w randze porucznika artylerii, bohater spod Ostrołki, kawaler orderu Virtuti Militari; po upadku powstania trafił do Anglii. W przybranej ojczyźnie nie zrezygnował jednak z działalności na rzecz utraconego kraju. M. in. przez ponad czterdzieści lat piastował funkcję sekretarza Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski w Londynie.

Nazwa odchodzi w zapomnienie, ale na głównej osi dawnego „polskiego korytarza” pozostało jeszcze sporo polskich wysp i wysepek. Inna sprawa, że i te szacowniejsze spośród nich, jak Instytut im. Gen. Sikorskiego przy Princes Gate, pobliska Biblioteka Polska lub słynne Ognisko” przy Exhibition Road, jak również niewielkie prywatne przedsiębiorstwa czy firmy, które stanowiły zaplecze „polskiego korytarza” - często popadają w tarapaty finansowe. W pierwszym wypadku jest to brak stałych, odpowiednich funduszy na prowadzenie tak rozbudowanych placówek, w drugim - zbyt duża już w chwili obecnej odległość od największych polskich skupisk w Londynie. Zresztą najczęściej obydwie racje zazębiają się. Przeciętny „Polus” z Ealingu rzadko zagląda do „Ogniska”, bo mu tam za daleko i nic po drodze. Z tego samego powodu rzadko odwiedza polskie restauracje, sklepy, kluby, rozciągnięte wzdłuż dawnego polskiego szlaku. Właścicielom pozostaje albo przeniesienie się w okolice gęściej przez Polaków zamieszkałe, albo przystosowania się do wymogów angielskiej większości.

Mieszkałem w pobliżu Earl's Court i często mijałem witryny sklepu „Vistula” specjalizującego się w sprzedaży płyt gramofonowych z muzyką polską. Całymi miesiącami widniały tam ogłoszenia o „niezwykłych” przecenach i „niecodziennych” obniżkach towaru,

ale nigdy nie zauważyłem, aby ktokolwiek z przechodniów zainteresował się owymi „okazjami”. Któregoś dnia zdecydowałam się, wszedłem do wnętrza i nawiązałem rozmowę z właścicielką sklepu. Starsza, przystojna, kulturalna pani nie ukrywała, że interes od dłuższego czasu przynosi więcej strat niż zysków. „Tutejsi Polacy nie przestali się interesować muzyką, wręcz przeciwnie – mówiła – Z upływem lat coraz chętniej sięgają po płyty z nagraniami „Mazowska”, piosenkami w wykonaniu Ireny Santor na przykład... Ale nasza firma już im nie po drodze. Komu będzie się chciało tłuc metrem z Ealingu na Earl's Court i z powrotem? Toż to cała, niemal dwugodzinna, wyprawa”. „Dlaczego więc nie przestawi się pani na klientelę angielską?” - zapytałem. - „To by było niemożliwe. Dobry klient angielski to klient bardzo młody. A bardzo młody angielski klient to określony typ muzyki: „pop”, „folk” „underground”. My się na tym nie znamy. No i sprawa konkurencji: młodej, bezwzględnej, rzutkiej, drapieżnej. W dodatku „liss” nam się kończy...”

Otóż to. Sprawa upływu, terminu „lissu” - wieloletniej umowy o najem lokalu czy też całego budynku, przysparza sporo kłopotu dotychczasowym ich użytkownikom. Zawierane często nawet na dwadzieścia, trzydzieści lat umowy, kiedyś na zupełnie dogodnych warunkach, obecnie wygasają i właściciele domów stawiają przy ich odnawianiu niezwykle wygórowane nowe warunki. Mogą zaś dyktować takie, jakie im się zamarzą, bo wiele bogatych firm czy instytucji zapłaci każdą cenę, ażeby wejść na doskonale dzisiaj notowane tereny Londynu, „zablokowane” dotąd przez „starych lokatorów”. Na tej właśnie zasadzie wisiała od dłuższego czasu na włosku sprawa dalszej egzystencji „Ogniska Polskiego”, któremu kończyła się trzydziestoletnia umowa o najem. Ostatecznie umowa została przedłużona, ale bardzo niewiele brakowało, aby z pejzażu „polskiego korytarza” zniknęła kolejna, tak charakterystyczna jego część.

Ci, którzy w odpowiednim momencie potrafili przystosować się do zmienionych, powojennych warunków, święcą dzisiaj triumfy. Nie zagraża na przykład z pewnością likwidacja słynnej restauracji „Daquis”, usadowionej pod kolorową markizą przy Thurloe Street, tuż przy ruchliwej stacji metra - South Kennington. Wielkie okna „Daquisa” spoglądają wprawdzie w kierunku „Ogniska”, w perspektywę Exhibition Road, ale sama restauracja leży na szlaku tłumów Anglików i zagranicznych turystów, zmierzających do pobliskiego słynnego Victoria and Albert Museum, lub dalej, przez pełną eleganckich magazynów odzieżowych ulicę Knightsbridge ku Hyde Park Corner, Green Park i Picadilly Circus.

Chwytliwa, o francuskim brzmieniu nazwa „Daquis” daje się łatwo przetransponować na swojsko dla polskiego ucha brzmiącą: „U Dakowskiego”. Daquis-Dakowaki zachwała spécialité de la maison: „Polish and Russian dishes”, przy czym owe „Russian” dania stanowią specjalną atrakcję dla Anglików i zagranicznych turystów, gdy „Polish” –

przyciągają i miejscowych Polaków i przybyszów z Kraju spragnionych zjedzenia „nareszcie czegoś polskiego” po straszliwych torturach różnych angielskich „Wimpy Barów”. W „Daquis” można m.in. zjeść doskonałą kaszanke, flaki lub kołduny. Można zamówić porcję „Russian borsth with pirozhki”. U Dakowskiego można wreszcie napić się „Russian tea” – czyli po prostu herbaty z cytryną i zjeść naprawdę dobre, niby z jakiejś prywatnej krakowskiej cukierni – ciastko. Szczególnym powodzeniem wśród Anglików cieszy się makowiec z rodzynkami, migdałami i skórka pomarańczową.

„Daquis” potrafił doprowadzić do doskonałej równowagi w „interesie” : opierając się przede wszystkim o klientelę angielską i międzynarodową, utrzymał polski charakter lokalu. Stanowiąc w pewnych godzinach kawiarniany przybytek szeregu emigracyjnych „niezłomnych” Polaków, nie dopuścił jednak do wytworzenia się specyficznej „emigracyjnej” atmosfery – w złym tego słowa znaczeniu. Do Dakowskiego Anglik, Amerykanin, Polak z Anglii, „niezłomny” czy „postępowy”, lub też Polak z Kraju przychodzi po prostu po to, żeby zjeść dobry obiad, albo napić się dobrej kawy w spokojnym przekonaniu, że zostanie dobrze i uprzejmie obsłużony, niezależnie od swojej przynależności państwowej czy przekonań politycznych.

A swoją drogą charakterystyczne, że co kolejna polska restauracja w dawnym „polskim korytarzu”, to udaje ona restaurację... rosyjską. Na tymże południowym Kensingtonie otwiera szeroko podwoje dla spragnionych rosyjskiego jadła „customersów” polski... „Carewicz” i również w pobliżu „Daquisa” kusi bogatym zestawem atrakcyjnych dań – „Chez Luba”. Owa restauracja „U Luby” szczyci się francuskim kucharzem, zatrudnia głównie hiszpańskich i włoskich kelnerów, ale jej właściciel, popularny w okolicy „Mister Nicki”, nazywa się naprawdę Wiśniewski i jest Polakiem z dziada pradziada.

Położona przy zacisznej Draycott Avenue „Chez Luba” i jej vis à vis – apteka Grabowskiego stanowią kolejną polską wysepkę na osi „Polish corridor”. Apteka Grabowskiego doczekała się już licznych opisów w polskiej prasie ze względu na sylwetkę jej właściciela, który w tym samym budynku, tylko, że w lokalu wychodzącym na równoległą Sloane Avenue – prowadzi słynną galerię nowoczesnego malarstwa. Zatrzymajmy się zatem dłużej przy „Chez Luba”, która mniej jest znana Polakom, natomiast od lat figuruje w angielskich przewodnikach po Londynie wśród najdroższych i najbardziej eleganckich restauracji.

„Chez Luba” proponuje niewielką porcję kawioru za 3 funty szterlingi i już sama ta wiadomość wystarczałaby za stwierdzenie, że nie walą tam tłumy konsumentów. „Chez Luba” zresztą nie zabiega o tłumy. Bazuje od lat na stałej klienteli, rekrutującej się głównie z bogatych artystów zamieszkałych w Chelsea i ich jeszcze bogatszych przyjaciółkach, przyjeżdżających z Ameryki, aby nieco rozerwać się. Za dwuosobową „skromną kolację z

dobrymi trunkami” zjedzoną w zacisznej scenerii, wśród czerwieni kotar, luster w złożonych ramach, przy dyskretnej muzyce fortepianowej – płaci się lekką rączką 10-15 funtów. Płaci się za doskonałą obsługę, za „przyjacielską atmosferę” udatnie stwarzaną przez „Mr. Nickiego” krążącego po Sali w śnieżnobiałym stroju i w wysokiej, jak z bajki, kucharskiej czapie na głowie. Płaci się również za snobizm. Ze ścian spoglądają bowiem liczne zdjęcia, na których przedstawiony jest „Mr. Nicki” z Richardem Burtonem, „Mr Nicki” z Kirkiem Douglasem, „Mr Nicki” z Liz Taylor, „Mr. Nicki” z Romanem Polańskim i tak dalej i tak dalej. W „Chez Luba” stoi nie więcej niż dziesięć stolików, „Chez Luba” czynna jest tylko od ósmej wieczorem do wpół do dwunastej ale widocznie interes się opłaci, skoro „Mr Nicki” tak na zdjęciach jak i „na co dzień” utrzymuje nie schodzący z twarzy dobroduszny uśmiech.

W życiu prywatnym „Mr. Nicki” jest panem Wiśniewskim, człowiekiem około pięćdziesiątki, byłym podoficerem 2 Korpusu, który po przybyciu przed ćwierć wiekiem do Anglii zaczynał – jak większość jego współrodaków – od zera. O tamtym okresie życia wspomina niezbyt chętnie, czasami wymknie mu się zdanie, że również sypianie w parku na ławce nie było mu obce. Zdolnościami kulinarnymi pracowitością no i głową do interesów dorobił się tej oto restauracji, eleganckiego mieszkania w Chelsea i jakiejś tam sumki odłożonej w banku – na czarną godzinę.

Ale też Wiśniewski – choć sam o tym nie mówi – należy do tej grupy Polaków, którzy zaraz po przybyciu do Anglii potrafili realnie spojrzeć na ówczesną sytuację polityczną i wybiec spojrzeniem w przyszłość. Urlopy spędza od lat zazwyczaj w Polsce, wziął sobie za żonę Polkę z Kraju, a jego dwaj kilkuletni synkowie mówią językiem rodziców nie gorzej od swoich rówieśników z Krakowa czy Warszawy. Dzieci mówiące tak bardzo czystą polszczyzną spotkałem tylko w bardzo nielicznych domach polskiej emigracji w W. Brytanii.

Poważne kłopoty z poprawnym mówieniem po polsku ma natomiast córka innego rezydenta „polskiego korytarza”, handlarza antyków, p. Witka – dwudziestoletnia Grażyna. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo większość Polaków urodzonych już na Wyspach Brytyjskich ma z ojczystym językiem rodziców trudności, a wielu z nich wcale nie mówi po polsku, gdyby nie fakt, że przypadek Grażyny jest raczej szczególny: dopiero po ukończeniu szkoły średniej zaczęła przejawiać zainteresowanie językiem polskim i zabrała się poważnie do nauki. Być może na jej zainteresowanie wpłynął fakt podjęcia pracy w interesie ojca jako „shop assistant” (sprzedawcy).

Firma p. Zbigniewa Witka mieści się na przeciwległym niż „Daquis” czy „Chez Luba” krańcu „polskiego korytarza”. Właściciel uczestnik Powstania Warszawskiego, przybył przed laty do Anglii prosto z obozu dla „dipisów”. Młody człowiek, bez konkretnego zawodu, miał się różnych zajęć, najdłużej zaś pracował jako robotnik w niewielkich przedsiębiorstwach budowlanych. Na spokojne finansowe wody udało mu się wypłynąć jednak dopiero wówczas,

kiedy zajął się sprzedażą mebli antycznych; był jednym z pierwszych, którzy zdołali przewidzieć ogromne zainteresowanie antykami, jakie ogarnęło prawie całą Wielką Brytanię w ostatnich latach. Jeszcze do niedawna nazywano go w okolicy „władcą antycznego imperium”. Razem ze współnikami dysponował trzema sąsiadującymi ze sobą lokalami, składającymi się razem z dwudziestu kilku pokoi wystawowych oraz wielkim, doskonale wyposażonym warsztatem stolarsko-renowacyjnym. Po rozpadnięciu się spółki p. Witek musiał się nieco ograniczyć w sensie lokalowym ale firma, już tylko pod jego nazwiskiem, jest nadal tak samo znana wśród angielskich czy włoskich „dealerów” – handlarzy antykami – oraz zasobnej w mamonę „zwyczajnej” klienteli. Podobnie jak „Mr. Nicki”, „władca antycznego” – lub dokładniej: „antycznego imperium” utrzymuje ścisły kontakt z Krajem, bywa częstym gościem w rodzinnym Krakowie i w Warszawie, zaś tutaj, w Londynie, jest aktywnym działaczem towarzystwa pomocy w odbudowie Zamku Warszawskiego.

„Polish corridor” odchodzi w zapomnienie. Nic zresztą dziwnego. Na jego dawnych głównych arteriach: na Earl’s Courcie i na Knightsbridge, na King’s Road i Fulham Road nastąpił „wybuch” mody młodzieżowej, sztuki, nowej obyczajowości, nowych sposobów myślenia. Dawny „polski korytarz” stał się dzisiaj „korytarzem międzynarodowym”. Ale o tym w jednej z następnych korespondencji.

Pierwodruk: „Kamena”, 1972, nr 17, s. 5-7.